

Laseczka i tajemnica

Zbigniew Nienacki



liber
novus

Zbigniew Nienacki

Laseczka i tajemnica

Próbka

Zbigniew Nienacki

Laseczka i tajemnica

Wydanie I

Próbka

Liber Novus 2011



liber
novus

Redaktor naczelny • Marcin Nowak
Korekta • Artur Marcin Laskowski, Marcin Nowak
Skład i łamanie • Artur Marcin Laskowski
Projekt okładki • Maciej Łazowski

Wydawnictwo
Liber Novus Marcin Nowak
ul. Łaska 43
95-050 Konstancynów Łódzki
www.libernovus.pl
info@libernovus.pl

Copyright © • Helena Nowicka
Copyright © for electronic edition • Liber Novus
Konstancynów Łódzki 2011

ISBN • 978-83-7741-011-0

Liber Novus 2011
 liber
novus

Osoby działające

- Henryk • dziennikarz, redaktor tygodnika
- Rosanna • dziewczyna ze Starego Cmentarza
- Julia • plastyczka, współpracowniczka tygodnika
 - Butyło • handlarz antyków
 - Butyłowa • piękna blondynka
 - Siostra Rykierta • sprytna staruszka
 - Pakuła • oficer śledczy
 - Kobyliński • reporter „Echa”
- Buczek • major Wojewódzkiej Komendy MO
- Gniewkowski • kolekcjoner porcelany
- Skarżyński • kolekcjoner z Brzezin
- Skonieczny • dentysta z Głowna
- Bromberg • staruszek rencista
- Rotmistrz • emerytowany wojskowy
- Marek • poeta, redakcyjny kolega Henryka

Osoby, o których się mówi

- Rykiert • magister, historyk sztuki
- Mozek vel Josif vel Oczko • rzeźmieszek bałucki
- Zaza • wołyżerka
- Arno • jej mąż, cyrkowiec
- Krzyżanowski • lekarz, autor pamiętników
- Kocher • adwokat
- Fedorenko • żandarm carski
- Stanecki • adwokat ze Zgierza
- Schuller • SS-man

Podczas porannego dyżuru w drukarni, gdy z maszyny rotacyjnej schodziły pierwsze egzemplarze tygodnika, Henryk zobaczył na stole w redakcji technicznej część maszynopisu pamiętników dra Krzyżanowskiego. Wydawnictwo Łódzkie poprosiło redakcję o druk dowolnego fragmentu pamiętników, pragnąc w ten sposób zapowiedzieć książkową publikację całości. Poeta Marek dokonał wyboru fragmentu i przeznaczone do druku w następnym numerze stronicie pamiętnika zaznaczył czerwonym ołówkiem. Henryk jednak nie miał zaufania do redakcyjnych umiejętności poety Marka. Tygodnik przeżywał właśnie pewien spadek nakładu, a Henryk obawiał się, że Marek nie wybrał fragmentu najbardziej frapującego i interesującego czytelników. Z maszyny schodziły pierwsze egzemplarze nowego numeru, dyżur redakcyjny zobowiązywał do siedzenia w drukarni aż do ostatniego egzemplarza, albowiem drukarzom nie zawsze chciało się przemyć wałki i szczególnie ostatnie odbitki wychodziły zamazane. I raczej z nudów niż z poczucia odpowiedzialności zasiadł Henryk nad maszynopisem pamiętników. A gdy skończył czytanie, ustał już łoskot maszyny rotacyjnej — była dziesiąta rano, 21 maja 1961 roku.

21 maja

Wracając po dyżurze do domu zobaczył ją Henryk w oknie wystawowym Desy.

Leżała na perskim dywanie sąsiadując z wielką chińską wazą i kilkoma szerniałymi ikonami. Tuż obok, wsparte o wypukły brzuch ozdobnej sekretery, stało piękne lustro w barokowej ramie.

Była ciemnowisniowa, wysmukła, z posrebrzaną rękojeścią w kształcie walca. Wydała mu się bardzo wytworna; wyobraził ją sobie w urękawiczonej dłoni dandysa z *fin de siècle'u*, gdy z wysokich trybun śledził wyścigi konne. Ów pan, zapewne podobnie jak i Henryk — nosił wąskie spodnie i kolorowe kamizelki, a na głowie miał kapelusik z niewielkim rondkiem. Mimo to na współczesnej ulicy i w dłoni Henryka laseczka mogła spotkać tylko rozbawione spojrzenia, była czymś dziwnym i anachronicznym.

A jednak prawie natychmiast wszedł do sklepu i, wskazując laseczkę palcem, zapytał o cenę.

— Pięćset złotych — odpowiedziała siwa pani.

Odkąd otrzymał mieszkanie w nowym bloku, zbudowanym na dawnym pustkowiu tuż obok Starego Cmentarza, posiadanie laseczki uznał Henryk za nieodzowne. Do domu wypadało mu bowiem chodzić bezludną ulicą, odgradzoną od

cmentarza wysokim ceglanym murem. W murze było wiele dziur, na zarośniętym krzakami Cmentarzu wieczorami biwakowały grupki podejrzanych osobników, którzy przez owe dziury wyłazili na ulicę i zaczepiali przechodniów, wyłudzając od nich pieniądze na wódkę. Ileż to razy późnym wieczorem goniły za Henrykiem wołania podchmielonych wyrostków: „Te, okularnik, postaw kielicha”. Przyśpieszał wówczas kroku utwierdzając się w postanowieniu kupna laski. Zapewne miała to być laska duża, ciężka i masywna. Lecz czy z taką mógłby się pokazywać na rojnych ulicach Łodzi, w redakcji, gdzie pracował, lub w kawiarni, gdzie spędzał wieczory? Oddalał więc od siebie decyzję nabycia laski, dopóki nie napotkał tej wysmukłej, ciemnowiśniowej, z posrebrzaną rączką w kształcie walca.

— Zrobiona jest z palisandru — rzekła siwa pani. — A palisander to bardzo mocne drzewo.

— Mocne — ucieszył się.

— Jest wytworna i stylowa. Przed sześćdziesięciu laty uważano ją za szczyt elegancji.

— Przed sześćdziesięciu laty... — westchnął.

— Laseczka posiada posrebrzaną rączkę. Niekiedy rączka odkręca się i ukazuje wydrążenie, gdzie można trzymać, na przykład, koniak. Bywają laseczki, z których za pociśnięciem rączki wyskakuje sztylet. Ta, niestety, jest najzwyklejszą laseczką. Rączka, jak pan sam widzi, nie odkręca się. Nie ma

także mechanizmu uruchamiającego sztylet. Zakończenie jest tępe i nieruchome.

— Wydaje mi się rzeczywiście bardzo wytworna i stylowa — zgodził się Henryk. I dodał: — Interesujące byłoby wiedzieć, do kogo kiedyś należała i kto paradował z nią po ulicach.

— O tak. To byłoby bardzo ciekawe — uśmiechnęła się siwa pani. — Oddał ją nam w komisową sprzedaż pan magister Jan Rykiert. Mieszka na Piotrkowskiej w tym wysokim domu z dużymi oknami. Wie pan, gdzie to jest, prawda?

Henryk uprzejmie skinął głową. A wówczas wyjaśniła, że mgr Jan Rykiert jest historykiem sztuki i sklep Desy pozostaje z nim w dość ścisłych kontaktach, albowiem Rykiert niekiedy dostarcza im do sprzedaży wartościowe antyki. Siwa pani wypowiadała się o tym bardzo oględnie, Henryk od razu pojął, iż magister Rykiert po prostu handluje antykami, lecz czyni to w sposób nieoficjalny, aby nie płacić podatku dochodowego.

— Pan Rykiert zapewne bardzo chętnie udzieli panu wszelkich informacji o palisandrowej laseczce — zakończyła siwa pani.

Zapłacił w kasie 500 złotych i stał się posiadaczem ciemnowiśniowej laseczki. Trzymając ją dwoma palcami, pomaszerował do redakcji, a wieczorem zasiadł z nią w kawiarni.

— Henryk coraz bardziej dziwacznie — powiedział poeta Marek. I dodał, że wolałby kupić w Desie jakiś ładny obraz niż najładniejszą laseczkę.

Henryk przytaknął. Obraz to oczywiście przedmiot znacznie potrzebniejszy niż laseczka, ale chyba nie dla każdego. Pomyślał: „Posiadam w domu kilka obrazów, a przecież to nie ułatwia mi wędrówki do domu”.

Julia roześmiała się głośno.

— Sądziłam, że Henryk nareszcie stanie się nowoczesnym mężczyzną. Podobno zaczął składać pieniądze na samochód. A tu macie, zamiast samochodu pojawia się laseczka. Jak traktować takiego mężczyznę?

Henryk uśmiechnął się bezradnie. Julia dała mu kiedyś do zrozumienia, że jeśli kupi samochód, gotowa jest z nim odbywać samochodowe podróże i będą razem, o czym zawsze marzył i czego bardzo pragnął.

— Laseczka nie jest specjalnie droga — odezwał się nieśmiało. — Zapłaciłem za nią tylko pięćset złotych.

— Pięćset złotych? — krzyknęła oburzona Julia. — Pięćset złotych na zbędny i na nic nieprzydatny przedmiot? Boże drogi — pałała szczerym gniewem — wyjść za mąż za takiego człowieka to chyba największe nieszczęście. Jada obiady w najgorszej stołówce, nosi wytarty kapelusz i stare rękawiczki, a kupił laseczkę za pięćset złotych!

Henryk już się nie uśmiechał. Było mu bardzo przykro.

24 maja

Laseczkę dał do odświeżenia. Stała się jeszcze ładniejsza — rączka połyskiwała srebrem, a palisandrowe drzewo błyszczało ciemnowiśniową politurą. Żelazny czubek głośno postukiwał na płytkach chodnika, gdy późnym wieczorem jak co dzień przemierzał pustą ulicę obok Starego Cmentarza.

Wieczór był ciepły, majowy. Spoza wysokiego muru napływała gęsta i odurzająca woń rozkwitającego bzu. Ogromną połąć Starego Cmentarza porastały gęste krzewy, okrywające zapadnięte groby i wałące się pomniki. Tam, pośród gęstwy splątanych gałęzi, kwitnących teraz i wydzielających zapach silny i odurzający — skakały króliki, włóczyły się zdziczałe psy i biegały gromadki łobuzów. Niektóre z tych gromadek tworzyły jakby bandy, którymi dowodził najsilniejszy.

Bliżej jednak Henryk nic nie wiedział o życiu wyrostków ze Starego Cmentarza. Znał ich tylko z dorywczych obserwacji, z tego, co dostrzegł z okna, co zobaczył w codziennych wędrówkach z domu i do domu. Na ulicy spotykał ich, gdy dziurami w murze opuszczali cmentarz i rozchodzili się na swoje strony. Byli to na ogół dwudziestoletni chłopcy i tyleż chyba lat liczące dziewczęta. Wśród nich jedna wydała się Henrykowi szczególnie interesująca — wysoka i bardzo zgrabna, o puszystych czarnych włosach. Mniej była niż inne krzykliwa,

a chyba ładniejsza. Jej czarne włosy nieodparcie sprowadzały mu na pamięć czytaną w dzieciństwie powieść odcinkową pod tytułem [Czarna Mańka], o królowej bałuckich złodziejasków. Ta, być może, miała na imię Zosia, Henia lub Stefka i nie królowała na Starym Cmentarzu. Mimo to, ilekroć ją widział, zawsze budziła jego ciekawość i wspomnienie tamtej z powieści.

... Pachniało bzami. Uzbrojony w laseczkę pozwolił sobie Henryk na krótki spacer, tak aby płuca przesycone kurzem miasta mogły odetchnąć świeżym powietrzem. Uliczka była cicha i bezludna, z rzadka oświetlona staroświeckimi lampami gazowymi. Wyparte ze śródmieścia przez jarzeniówki, jakby w przeszłość cofały przechodnia. Tutaj laseczka wydawała się mniej staroświecka.

Nagle spoza muru doszedł Henryka głośny śmiech, a po chwili z dziury w murze odległej o kilkanaście metrów wybiegła dziewczyna w jasnym płaszczku. Za nią wyskoczył chłopak, dogonił ją i chwycił za rękę. Poczęli rozmawiać ze sobą głośno, gwałtownie. Henryk pojął, o czym mówili, dopiero gdy znalazł się bliżej. Wówczas także spostrzegł, że znowu spotkał dziewczynę, która tak często zaprzętała jego uwagę. Chłopca nie znał, a może po prostu dotąd nie utrwalił go sobie w pamięci.

— Pójdziesz! Obiecałaś, więc musisz pójść — wołał z coraz większym rozdrażnieniem wysoki chudy chłopak ostrzyżony na jeża.

Odpowiedziała śmiechem i poczęła wyszarpywać rękę z jego dłoni. Złapał ją więc oburącz i chyba ścisnął boleśnie, bo krzyknęła, a potem zaczęła powtarzać:

— Nie! nie! nie! nie!...

— Pójdziesz! Zobaczysz, że pójdziesz!

Szarpnął ją, potem popchnął. Nie miała dość siły, żeby wyrwać mu dłoń. Znowu ją popchnął, powtarzając: — A właśnie że pójdziesz!

Henryk pomyślał: „Nie należy się wtrącać, oni są chyba z tej samej bandy, najpewniej właśnie takie mają obyczaje, brutalnie załatwiają jakieś własne sprawy. Wtrącę się, a obydwoje obrócą się przeciw mnie”.

— Odczep się, bo zawołam o pomoc — zagroziła dziewczyna.

Chłopak puścił jej rękę, uderzył dziewczynę w plecy. Potem znowu złapał jej dłoń i popchnął. Nic już nie mówił, tylko popychał i szarpał.

Henryk pomyślał: „Chłopak jest chyba silniejszy ode mnie, zapewne za murem cmentarnym kryją się jego koledzy. Najlepiej przejść mimo nich, jak bym niczego nie widział i nie rozumiał. Za pięć minut będę w swoim mieszkaniu i może nareszcie napiszę artykuł, o którym myślę od dawna. A może właśnie nie napiszę, ponieważ będę się zastanawiał, czy słusznie uczyniłem mijając ich, jak bym niczego nie widział i nic nie rozumiał?”.

— Puść! Słyszysz? Puść! — krzyknęła dziewczyna. — Proszę pana! — zawołała w stronę Henryka. — Proszę pana — powtórzyła błagalnie.

Przystanął.

— Puść ją! Puść ją natychmiast — rzekł wspierając się na laseczce.

Chłopak nie wypuścił jednak dłoni dziewczyny. Tyle tylko, że obrócił się twarzą do Henryka i obrzucił go rozgniewanym spojrzeniem.

Dziewczyna szarpnęła się raz jeden i drugi. Wreszcie wydarła mu rękę. Wtedy odskoczyła kilka kroków.

— Co się pan mieszasz? Uważaj na szkła, bo ci z nosa spadną — rzekł wolno chłopak. Zdążył już chyba dostrzec, że przeciwnik jego nie wygląda na siłacza.

Henryk obronnym gestem podniósł do góry laseczkę.

— Zabierz ten patyk — wrzasnął tamten.

I szybkim ruchem chwycił dłonią koniec laski. Szarpnął, żeby ją złamać lub wyrwać mu z ręki. Henryk ścisnął silniej srebrną rączkę. Raptem rozległ się jakby suchy trzask, chłopak zatoczył się pod mur cmentarny. W dłoni trzymał drewnianą pochewkę, Henrykowi zaś pozostał w ręku długi i ostry jak żądło sztylet, którego rękojeść stanowiła srebrna rączka laseczki.

Henryk uczynił krok naprzód. Wówczas chłopak porzucił drewnianą pochwę. Jak przestraszony kot uciekł pod mur i skrył się w dziurze.

Henryk przyklęknął i podniósł z chodnika porzuconą pochwę. Drżącymi ze zdenerwowania palcami nasunął ją na sztylet. Rozległ się suchy trzask. To jakaś sprężynka związała silnie pochwę ze srebrną rączką sztyletu. Znowu trzymał w dłoni już tylko ciemnowisniową laseczkę z palisandru.

Uśmiechnął się. Ten uśmiech zobaczyła stojąca obok dziewczyna. On ją ośmielił, bo rzekła cicho, ale z wyraźnym podziwem:

— To z pana taki facet? No, no, no...

Henryka ogarnęło przyjemne uczucie zwycięstwa. Wydało mu się, że nagle okazał się kimś innym, niż był dotychczas.

— No, no, no... — powtórzyła dziewczyna.

Niedbale wzruszył ramionami.

— Nie lubię, jak mnie zaczepiają — powiedział.

— Napędził mu pan stracha. Uciekł jak szczur.

— Co to za jeden?

— Na imię ma Lolek. Dowodzi swoją paką. Taki tam... smarkacz — dodała.

— A pani należała do jego paki? I nie chciała pani wykonać jego rozkazu?

— Ja? Do jego paki? — zaśmiała się wzgardliwie. — To przecież smarkacz, ma dziewiętnaście lat.

- A pani?
- Dwadzieścia dwa.
- Wygląda pani na siedemnaście.
- Nie zależy mi na tym.

Skinął głową. Oczywiście, teraz jeszcze jej na tym nie zależało. Spojrzał na nią uważniej: tak, wydawała się najwyżej siedemnastoletnią dziewczyną, a to dzięki drobnym i subtelnym rysom twarzy. W ogóle była dość drobna i szczupła. „Jest śliczna” — skostatował raz jeszcze.

Spytała:

— Pan pewnie mieszka w tym wielkim bloku na końcu ulicy? Czy mogę pana odprowadzić?

— Mnie? — oburzył się Henryk. — To ja panią odprowadzę. Znowu ktoś tu na panią napadnie.

— To się więcej nie powtórzy. Lolek zaskoczył mnie. Nigdy nie sądziłam, że jest taką świnią. Chciał, żebym należała do jego paki, ale nic z tego nie wyjdzie.

Stuknęła laseczką o płytę chodnika.

— Gdzie pani mieszka?

— W śródmieściu.

— Odprowadzę panią do tramwaju — zdecydował i zawrócił w stronę miasta. Poszła za nim posłusznie, a po kilku krokach wsunęła mu dłoń pod ramię. „Proszę, jaka swobodna — pomyślał. — Ma chyba wprawę w zaczepianiu męż-

czynn na ulicy”. I zrobiło mu się żal, że jest taka ładna i taka łatwa.

Jak by odgadła myśli Henryka. Rzekła:

— Pan pewnie nie zawiera znajomości na ulicy?

Powtórzyła z lekką drwiną:

— Pan nie z takich, co zawierają znajomości na ulicy?

— Nie z takich — rzucił ze złością, bo rozgniewała go ta drwina.

— Pan z takich, co to muchy nie umieją skrzywdzić. Pan lubi spacerować, podpierać się laseczką. Pan pewnie do teatru chodzi, z pięknymi kobietami siedzi w kawiarni, a potem wieczorkiem z pańskiej laseczki w cichej uliczce wyskakuje...

— Psssst! Cicho! — położył palec na ustach.

— Dobra, dobra — rzekła. — U mnie to jak w grobie.

Brała Henryka za jakiegoś rzezimieszka-eleganta z brukowej powieści. Henryk także przedstawiał ją sobie jako Czarną Mańkę. To nawet było chyba bardzo zabawne, że obydwójce mieli tak prymitywne wyobrażenie o świecie — zdał sobie sprawę. Oczywiście tylko on był tu śmieszny, bo od niego należało nieco więcej wymagać.

— Posłuchaj mnie, mała — odezwał się poufale. Zapewne tak właśnie powinien powiedzieć Mackie Majcher. — O laseczce zapomnij. W ogóle najlepiej zapomnij o incydencie na ulicy.

— O czym? — spytała.

— O tym, co się stało.

— Przecież nic się nie stało!

— Ale mogło się stać. O mały figiel, a tego Lolka bardzo bym skrzywdził. Ty mu to powtórz. Powiedz mu, że mi go żal, on jednak sam sobie winien. Na przyszłość niech się ode mnie trzyma z daleka. On i ta jego paka. I w ogóle... wszystkie tu-tejsze paki — zabezpieczył się na wszelki wypadek.

Bardzo poważnie przyjęła jego słowa. Kiwnęła głową, że wie, o co chodzi.

Henryk ujął laseczkę w dwa palce i zrobił nią kilka młyn-ców. Wypadło to zupełnie niezłe, choć tylko raz widział *Operę za trzy grosze* i niezbyt dokładnie zaobserwował, jakie ruchy laseczką wyczyniał Mackie Majcher.

Zbliżyli się do pierwszych domów miasta. Skręcili w przecznicę, gdzie znajdowała się pętla tramwajowa.

Zagadnął dziewczynę:

— Co pani robi?

— Jestem wolna — ucieszyła się, jak by od dawna oczekiwała na to pytanie. — Jeśli pan chce, możemy iść do lokalu potańczyć...

— Nie to miałem na myśli. Pytałem, kim pani jest? Gdzie pani pracuje, z czego pani żyje?

Znowu zaśmiała się wzgardliwie. Jak wówczas, gdy zapytał o Lolka.

— A pan co? Aposto! Z czego żyje? Z przyzwyczajenia, proszę pana.

— Dobra, dobra, mała — za!ogodził. — Nie chcesz mówić, to nie. No cześć, żegnaj — podał jej rękę.

Na pustej ulicy obok Starego Cmentarza pachniało bzami. Jak by jeszcze mocniej i upojniej. Laseczka postukiwała na płytach chodnika. Henryk szedł i nucił piosenkę o Mackie Majchrze:

*Jenny Towler znaleziono
Z nożem w piersiach, ale cóż,
Mackie Majcher spaceruje
i nikt nie wie, czyj był nóż.*

25 maja

Laseczka miała tajemnicę. Nie kryło się w niej wydrążenie, w którym można by było nosić koniak. Za dotknięciem zamaskowanej sprężynki nie wyskakiwał sztylet. Tajemnicę zdradzało tylko szarpnięcie za czubek laski. Nie skutkowało wyciąganie rączki, kręcenie nią — jedynie gwałtowne szarpnięcie uruchamiało ukryty wewnątrz zatrzask, oddzielając palisandrową pochewkę od rączki z długim ostrzem. Dlatego nawet w Desie nie odkryto tajemnicy, choć, być może, próbowano poruszać rączką i szukano ukrytych sprężynek. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, aby po prostu szarpnąć.

Sztylet był długim na pół metra starym bagnetem rosyjskim. Jego wążutkie klingi schodziły się w ostry i cienki jak igła koniec. Rana zadana tym narzędziem miała kształt krzyża i goiła się bardzo powoli.

Zastanawiała niezwykła staranność, z jaką ostrze bagnetu osadzono w srebrnej rączce, dorabiając precyzyjny zatrzask, wydrążając pochewkę i wewnątrz jej wykładając metalem.

Nie opuszczało Henryka przypomnienie Brechtowskiego bohatera — Mackie Majchra, króla londyńskich rzeźmieszków, spacerujących po ulicach ze sztyletem schowanym w lasce. O podobnym królu złoczyńców, władającym na Bałutach w Łodzi, czytał kiedyś Henryk w jakiejś książce. Ów

król łódzkich bandytów zwał się „Josif”, a później „Oczko”. Tak samo jak Mackie Majcher, nosił Oczko elegancką laseczkę, kryjąc w niej śmiercionośne narzędzie.

Henryk patrzył na ostry jak igła bagnet i nie potrafił uciec od nieprzyjemnego pytania: czy ostrze to zagłębiało się już w ciele ludzkim? W jakże przedziwnych i chyba strasznych sytuacjach wyciągano je z ciemnowiśniowej pochewki? Kiedy to było? Kto nosił dziwną laseczkę?

Wracały ciągle te same pytania bez odpowiedzi. Lecz Henryk był już świadomy, że jeśli uda mu się poznać historię laseczki, zainteresuje ona czytelników pisma, w którym pracował. Palisandrowa laseczka okazałaby się wówczas pomocną nie tylko w wędrówkach po pustej ulicy obok Cmentarza. Stałaby się także **tematem**.

Spis treści

Osoby działające	• 4
Osoby, o których się mówi	• 5
[Wstęp]	• 6
21 maja	• 7
24 maja	• 11
25 maja	• 20

Więcej książek

Zbigniewa Nienackiego

znajdziesz na stronie

www.nienacki.pl

Wydanie I

Copyright © • Helena Nowicka

Copyright © for electronic edition • Liber Novus

Konstantynów Łódzki 2011

ISBN • 978-83-7741-011-0

